№ 48. Warszawa, dnia 20 Listopada (2 Grudnia) 1874 r. Rok X.—Tom X.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowinyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

RODZINA

jako stowarzyszenie się do szczęścia.

(Dalszy ciąg.)

Mało jest pojęć ludzkich równie zawiłych, nierozjaśnionych, nieujętych dla etyki, jak pojęcie szczęścia. W życiu każdy człowiek inną je treścią wypełnia, każdy po swojemu szczęście zdobywa i posiada — a norma dla jednego indywiduum nie jest nigdy miarą dla innych. Rozum filozoficzny od czasów pierwszych swoich zaczątków na wschodzie usiłuje tego rozhukanego rumaka okiełzać, ale on mu zawsze z pod wędzidła wymykać się będzie. Zaledwie ujmie jeden stosunek, cały nawet szereg stosunków psychologicznych, aliści spostrzega, że inne również prawo do wejścia w definicyę mające pominął. Teoryi szczęścia wytworzonej przez rozum przedmiotowy, poza daną chwilą i daną osobistością ostać się zdolnej—rozum ludzki w skarbnicy swojej nie posiada i nigdy posiadać nie będzie.— W ogóle tajemniczą pozostanie dla nas zawsze głębina duszy; poznajemy tylko, poznawać możemy objawy wewnętrzne jej sił, odbijające się w zwierciedle sumienia lub samowiedzy, ale sił samych nie zbadamy nigdy. Los psychologów jest taki sam jak i przyrodoznawców. Oko pochwyci falę z powierzchni oceanu istnień: do dna jego nie sięgnie. Możemy patrzeć w idealny przestwór duszy ludzkiej i widzieć jak się potęgi ze sobą ścierają, jak z nich dodatnie lub ujemne wypływają dla samowiedzy i sumienia naszego skutki—i to wszystko, do czego poza granicami woli niepodległej duch nasz dojść jest zdolnym. Umysłowa, od bytu indywidualnego oderwana, prawd i praw przedmiotowych poszukująca działalność, jest wewnątrz ducha ludzkiego bardzo ograniczoną. Dusza ma rozum nieomylny tylko dla siebie—na potrzebę własnego spokoju, własnej równowagi między bytem ogólnym a jednostkowym. Rozumem tym patrzy, bada, doświadcza. Co się z całości tej obserwacyi uzbiera w pamięci, może stać się udziałem innych—i w ten sposób powstaje filozofia praktyczna. Teoryi człowieka wewnętrznego dotychczas żadnemu z filozofów nie udało się postawić; dotychczas nie wiemy: jak dusza żyje w samej sobie, na mocy jakich praw działa, myśli i czuje? Wszystko, co się na tem polu mówi i pisze, może mieć tylko charakter subjektywny, jest względną tylko prawdą, praw do niezawodności nie roszczącą.

Wprowadzając zatem pojęcie szczęścia do życia rodzinnego nie możemy indywidualności tego gościa określić w sposób niewątpliwy, tak, aby wraz z nim zjawiła się w rodzinie wartość zawsze pewna, niewzruszona, dobra wszędzie i dla wszystkich. Powinniśmy jednak pojęcie to poznać o tyle, o ile to jest potrzebnem dla naczelnej idei życia rodzinnego. Jeżeli nie zdołamy powiedzieć jakiem szczęście być powinno — mamy obowiązek, przynajmniej powiedzieć jakiem być nie może bez krzywdy dla stowarzyszonych. Jakiem więc ma być szczęście przejawiające się w rodzinie i czy w ogóle *być* ma prawo? Czy nie należałoby postawić innej zasady, innego celu stowarzyszeniu się istot związanych węzłem rodzinnym? Ponieważ rodzinę pojmujemy jako instytucyę moralną, cel więc moralny rodziny musi się w pojęciu szczęścia zawierać—inaczej pojęcie to nie nabędzie racyi istnienia w obec uczucia dobra i prawdy ludzkiej, uczucia żadnemi rozumowaniami przekupić się nie dającego.

Treść szczęścia stanowi zadowolenie wewnętrzne. Szczęście więc jest faktem duchowym. Jeżeli ten fakt utrwali się w duszy, tak iż wyda z siebie osobny stan duchowy, szczególną formę istnienia duszy, nazwiemy go szczęśliwością. Zadowolenie będzie wtedy ciągłą nieustanną radością z bytu ziemskiego. Do takiego zadowolenia dąży i dążyć musi dusza ludzka, bo człowiek nie rodzi się na to, by cierpiał i nawet wtedy, gdy cierpi, doznawać chce pociechy, że cierpienie to dodaje mu godności, wynika z praw jego ducha, przysparza mu tęgości moralnej. W pomroce cierpienia znajduje się jeszcze blask dla duszy, który ją przejmuje pewną radością tajemną, niewypowiedzianą, niedostępną dla innych. Dążenie do szczęścia jest faktem powszechnym, potężnym, nieodwołalnym, wygładzić się nie dającym. Filozofia praktyczna, jeśli chce być *praktyczną*, liczyć się z niem musi.

Skoro nie cofniemy już wrodzonej dążności człowieka, starajmy się dążność tę jak najwyżej skierować — aby nie szła po nizinach, na bagniste przestwory uciech znikomych, nieprawych, człowieczeństwa niegodnych. Wychowajmy człowieka tak, aby się na tych nizinach nigdy trwale szczęśliwym uczuć nie mógł. Dajmy mu pożądanie dróg wyższych i wyższego, szlachetniejszego zadowolenia z bytu. Przeciwstawienie świata duchowego idei moralnych, światowi rzeczywistemu, w którym się istota ludzka rodzi, wzrasta i żyje — nie jest koniecznością etyczną; bo człowiek może, a dla doskonałej jedności bytu swego powinien, w obu zarówno światach zamieszkiwać, oba w duchu swoim godzić, z obu wyciągać dla siebie żywioły bytu i obu światom służyć: jednemu przez cnotę i miłość ideału, drugiemu przez pracę społeczną. Człowiek powinien żyć nieprzepołowiony na dwie istoty, niebieską i ziemską, lecz żyć jednocześnie dla nieba i ziemi, dla siebie i dla drugich, dla materyi i ducha, dla moralności wewnętrznej i pracy użytecznej. Nie wolno mu mieć zniechęcenia do bytu—uważać ziemi za stacyę pielgrzymią w wiekowym pochodzie istnienia. Nie wolno też z drugiej strony całego bytu swojego do ziemi i tego, co na niej jest najbardziej znikomem, do zmysłowego życia, zakreślać. W pełni bytu znajdzie się zawsze zadowolenie z bytu: przy największem sprzeciwieństwie świata ideałów ze świa-

tem rzeczywistości można jeszcze mieć spokój duchowy, pierwszą podwalinę szczęścia stanowiący. Dusza dążąc do zadowolenia wewnętrznego i żyjąc przez to dążenie dla siebie, żyć może i dla innych: ofiara z życia nawet byłaby martwą, ślepą, bezwiedną, nie byłaby ofiarą, gdyby ją człowiek bez zadowolenia duchowego spełniał. Szczęście osobiste w ten sposób pojęte—i obowiązek, nie stają wcale przeciwko sobie jako dwa wrogi niepojednane, ucierające się z sobą dopóty, dopóki jeden drugiego nie powali. Owszem, podają sobie ręce i jednoczą się do jednego celu dobra. Dlaczegożbyśmy nie mogli dzieci swoich wychowywać tak, żeby im spełnianie obowiązków szczęście przynosiło? Czy przez takie wychowanie nie zyskamy najsilniejszych rękojmi dla obowiązków, najtrwalszych podstaw dla moralności? Przeciwstawianie obowiązku przedmiotowego dążeniu indywidualnemu do szczęścia, przyzwyczaja może duszę ludzką do obłudy — a nie wszczepia w nią bezwarunkowej siły do urzeczywistniania ideałów we własnym duchu, co głównie przez stawianie takiej antytezy osiągać chcemy. Potrzeba tylko rozwinąć człowieczeństwo należycie—aby człowiekowi dać szczęście osobiste, które będzie zarazem warunkiem uszczęśliwiania innych. Dobre wykształcenie duszy ludzkiej jest zawsze wykształceniem jej do szczęścia.

Wykształcenie człowieczeństwa, względne wydoskonalenie się moralne i oświecenie umysłu—samo jedno zapewnia już szczęście rodzinom. Edukacya do tego celu ma zmierzać. Rodzina, która jest szkołą człowieczeństwa, jest zarazem i szkołą prawdziwego szczęścia, a stowarzyszenie się w rodzinie stowarzyszeniem dla tego celu zawiązanem.—Życie rodzinne jest, co prawda, polem trudów niezmiernych, ale jest także i źródłem nieprzebranych radości. Nieszczęśliwe wydarzenia, śmierć, choroba, niedola nagła, mogą powalić serca, ale nie zmienią usposobienia dusz wychowanych do tej wewnętrznej szczęśliwości, o której tutaj mówimy. Jeżeli tylko ogólny stan duchowy rodziny będzie zadawalniającym, jeżeli w jej łonie wszechstronny rozwój człowieczeństwa postępować będzie ciągle we wszystkich członkach młodszych i starszych, jeżeli z rodziny wytworzy się jedna osoba moralna według przeznaczenia swego żyjąca—wypadki losowe skutków ujemnych dla trwałego szczęścia nie przyniosą. Co więcej, w cudownej organizacyi rodziny—nieszczęścia nawet same stanowią środek kształcący. Rodziny, nie mające żywych wspomnień śmierci, niedoli gwałtownej, niebezpieczeństwa wielkiego, posiadają zbytnią pewność siebie; dzieci w nich wychowują się w zbytniem przywiązaniu do spokoju zewnętrznego, a gdy wejdą w życie, nie mają dość siły na oparcie się jego przeciwnościom w sposób szanujący wszystkie najdelikatniejsze uczucia moralne, własne i obce. Jak oczy i serce dziecka przyzwyczajać trzeba zawczasu do widoku nędzy i wspomagającego ją miłosierdzia, tak też dobrze jest, gdy los sam pomyśli o obudzeniu uczuć bezinteresownego żalu i przyuczy kochać to, co już umarło, i za miłość wywzajemnić się nie może. Rodziny, w które gromy nieszczęść uderzały, — rozwijają się w atmosferze silniejszego uczucia, silniej zeznawanej wspólności. Zbytnie powodzenie odrywa od miłości braterskiej i ogólnie-ludzkiej i wymaga potężniejszych działaczy edukacyjnych dla wykształcenia uczucia. Pięknie powiedział Krasiński: trzeba mieć dumę w ducha całości, a pokorę w każdej życia chwili. Otóż tę pokorę daje człowiekowi oswojenie się z niedolą ludzką i poznanie własnej. Dążyć do jak największego szczęścia — ale być przygotowanym na niedolę, uzdolnionym i do trudu i do cierpienia—to także część składowa edukacyjnego planu rodziny. Jest jednak nieszczęść granica—i jeśli trzeba duszę ludzką zaprawiać na to, co się w zwykłej mowie nazywa nieszczęściem, jeżeli do szczęścia wymaga się cnoty, nie należy naturze ludzkiej stawiać żądań zbyt wielkich i raczej pamiętaćby wypadało o tem, że do cnoty potrzebne jest gorczyczne ziarno szczęścia. Od ludzi niezwykłą, ustawiczną niedolą trapionych, od ludzi, którym się wszystko co do działania wezmą z pod ręki, wszystko, na czem się oprą, z pod stóp wysuwa—od tych ludzi nie wymagajmy dobra: dobro w nich będzie bohaterstwem, a bohaterstwo żadnem prawem nakazane być nie może. Do szczęśliwości wewnętrznej rzeczywistej, takiej jaką w rodzinach widzieć byśmy pragnęli, potrzebną jest pewna summa warunków zewnętrznych, którą w potocznej mowie szczęściem nazywamy. Przedewszystkiem musi być byt fizyczny jednostek obwarowanym od głodu, chłodu i trwałego niedołęstwa. — Rodzina dla spełnienia swego celu edukacyjnego musi mieć co do ust włożyć, czem się przyodziać, pod czem zamieszkać. Gdzie panuje ciągła choroba i ciągły niedostatek, tam prawo wyższego doskonalenia się obowiązywać przestaje. — Pomyślność zewnętrzna sprowadzona do *minimum* jest koniecznym warunkiem wewnętrznej szczęśliwości, jaką rodzina w człowieku wypielęgnować powinna. Życie nas przekonywa, jak trudne jest oznaczenie tego *minimum*, jak człowiek łatwo poza kres wytknięty sobie pierwiastkowo wykracza, jak każdy ma inną dla siebie skalę, którą z pod kontrolli innych usunąć pragnie; ale toż samo życie daje także przykłady umiarkowania pamiętającego zawsze o tem, by celów nie poświęcać dla środków. Tego też tylko wymaga. się od rodziny w dążeniu do szczęścia materyalnego. Z chwilą dobicia się bytu spokojnego, kształcenie rodziny, rozwijanie w niej człowieczeństwa ze strony charakteru i uczuć powinno być *wyłącznym celem życia rodzinnego*. Wszystko inne może mieć tylko znaczenie dążeń, korzyści i faktów ubocznych.

Stowarzyszenie się rodziny do szczęścia przez jak największy rozwój człowieczeństwa, bierze początek swój z chwilą, w której możliwym jest już wpływ wzajemny, choćby się niekoniecznie ze świadomością przez wszystkich poddanych prawu rodzinnemu wywierał. Dzieci nie zdające sobie jeszcze sprawy z edukacyi, jaka na nie spływa, mogą w bezwiedności swej — stać się w niejednej chwili życia nauczycielami swych rodziców. Gdy więc są pożytki ze stowarzyszenia — musi istnieć i samo stowarzyszenie z przewagą bardzo znaczną po stronie rodzicielskiej i w formach jedynowładztwa, sprawowanego niepodzielnie przez ojca i matkę. Z chwilą rozbudzenia się samowiedzy w dzieciach, stowarzyszenie rodzinne nabiera pełności bytu: jest istotnem świadomem zespoleniem sił do jednego wielkiego celu doskonalenia się i szczęścia. Kształcenie moralne, a jeśli okoliczności sprzyjają, to i umysłowe, staje się wtedy istotnie wzajemnem, kieruje niem i w drażliwym stosunku rodziców do dzieci jedynie możliwem je czyni—miłość; ze strony rodziców regulatorem jest sprawiedliwość. Wyrosłe w duszach rodzicielskich zasady dobra i prawdy, nagromadzony zasób doświadczenia życiowego dostarczają miłości materyału do działania na dusze dziecięce. Ze strony dzieci dorosłych niezmiernej trzeba delikatności, aby kształcąc rodziców, wyższości im swojej nie narzucać. Lecz i tu rodzice zbierają najczęściej, to, co zasieli. Dzieci wychowane w miłości, miłością każde słowo, każdy czyn kształcący spromieniać będą — wychowane inaczej, dadzą tylko obraz zgorszenia. Nie możemy położyć dość silnego nacisku na ten charakter rodziny jako instytucyi do wzajemnego, częstokroć mimowolnego kształcenia się przeznaczonej. Ci tylko, co widzieć nie chcą, tego wzajemnego wpływu nie widzą. Rodzina stanowi jedyną organizacyę, w której więcej niż dwie istoty ludzkie wzajemnie kształcić się mogą. Przyjaźń jest podobnym związkiem dwóch dusz nietylko do wspólnego przezwyciężania przeciwności życia, jak chcieli Rzymianie, ale do doskonalenia się i wewnętrznej szczęśliwości, wspólnie odczuwanej, przeznaczonym. Lecz węzły przyjaźni są dziś z dniem każdym rzadsze. Rodziny zaś istnieją i istnieć będą—choćby z osłabioną spójnością wewnętrzną.

W rodzinie idealnej doskonaląca człowieka działalność, nie ogranicza się na samych tylko jednostkach węzłami krwi złączonych, lecz ogarnia wszystkich mieszkających pod jednym dachem, domowników. Niema nic błędniejszego nad mniemanie, że służących samym sobie pozostawić należy, wymagając od nich jedynie przymiotów porządkowych, dokładne spełnianie obowiązków zabezpieczających. Przy dzisiejszem zepsuciu i dzisiejszym wybujałym indywidualizmie namiętności — zadanie poprawienia i względnego wyrobienia charakterów i umysłów sług w szczęśliwych tylko wyjątkowo okolicznościach spełnionem być może. Potrzebujemyż dodawać, że i co do tych wyjątków panującą jest reguła zupełnego odsuwania się? W ten sposób, choć na innej drodze, wracamy do dawnych uprzedzeń mających jeszcze źródło swoje w niewolnictwie, śmiesznych już dla dzisiejszego ucha, ilekroć je przytoczyć wypadnie, a mimo to ciągle w życiu praktykowanych. Nie powtarzamy dziś już wprawdzie, że „chłop z innej, pan z innej gliny“ — lecz postępowaniem całem to okazujemy. Służba zwłaszcza młodsza, jeszcze nie zepsuta, nie znajduje dostatecznej opieki, przewodnictwa, rady i pomocy w licznych stosunkach życia, które przecież i ona, jako do zakresu człowieczeństwa, należąca mieć musi. — Co do służby niewieściej, jej położenie w naszem społeczeństwie znacznie się pogorszyło z postępem ogólnym. Owe wieki, które z taką dumą w zakresie uspołecznienia wyprzedzamy, umiały przynajmniej po dworach wiejskich, ustalać bezporównania zacniejsze niż dziś stosunki między sługą a panią domu. Nauka, modlitwa wspólna, wspólna praca pod okiem, a zatem i pod wpływem pani—i w ogóle silniej panująca serdeczność i miłosierdzie chrześcijańskie starały się wyrównywać nierówności, a często i niesprawiedliwości losu. Pani zwracała uwagę na moralne strony życia sług — bo miała o nich baczenie dla samej siebie; rozum jej stał ciągle na straży własnego serca. Religia przychodziła w pomoc i nauczanym i nauczającym; ułatwiała wpływ na służących. Przy dzisiejszem osłabieniu życia religijnego ubył ważny czynnik edukacyjny—wszelako i dziś jeszcze możnaby wiele dla dobra służących zdziałać, gdyby tylko więcej było szczerej do tego ochoty. Jeżeli mam wypowiedzieć przekonanie swoje, to zdaje mi się, że przy dzisiejszym stosunku sługi do pani — sługa raczej się psuje niż poprawia. Co tu mówić o służących, gdy często dzieci zostają bez przewodnictwa i wychowują się tak jak los zrządzi—dobrze lub źle—byle żyły, miały co jeść i wypić i co po francuzku wypowiedzieć.... Zaniedbując oddziaływania na służących, matki lekceważą interes własnych dzieci: żaden stosunek służebniczy nie usunie tej konieczności, która wszystkich żyjących pod jednym dachem, a więc i sługi, opasuje łańcuchem jednego uspołecznienia, wprowadzając wzajemny wpływ, dobry i zły, wszystkich na wszystkich. Chcąc więc dzieci od zepsucia uchować, potrzeba służbę jak najlepiej dobierać, a dobraną jak najusilniej po drodze doskonalenia moralnego prowadzić. Gdyby się przyjęły proponowane, a raczej z przeszłości przez pana Prądzyńskiego przypomniane czytania wspólne w kołach rodzinnych, możnaby dopuścić do nich i służących. Wrazie natrafienia na grunt wdzięczniejszy, rodzina mogłaby poświęcać przynajmniej parę godzin tygodniowo na oddzielne zupełnie kształcenie służby. Zajmie to czas, połączone będzie z przykrościami — lecz czy istotnie czas kobiet naszych w rodzinie jest tak drogim, czy rządzą się one zasadą zaoszczędzania tego najpierwszego, najważniejszego zarobku na ziemi, jaki nam przysparza każda chwila w zdrowiu i uzdolnieniu do pracy doczekana? Nie sądzę — mnie się zdaje, że jak dla dzieci, tak i dla sług, czasu aż nadto wiele zawszeby się znalazło, gdyby się go tylko mniej poświęcało samym sobie. Czasu jest dość — a co do przykrości, te wynagrodzą się sowicie—jeśli nie owocami osiągniętemi w nauczaniu — to cichem zadowoleniem płynącem ze spełnienia dobrego uczynku. Prawda, że dusza nie przyuczona za młodu do takich zadowoleń, w późniejszym wieku ich nie rozumie, nie zdaje sobie z nich sprawy, nie wierzy w ich rzeczywistość — uważa je za wymysł obłudnych marzycieli...

Tak dalece surowymi na świat przychodzimy, że nie ma jednej władzy duszy, którejbyśmy, nie już rozwinąć, ale z uśpienia budzić nie potrzebowali: kształcimy samowiedzę moralną i sumienie, podobnie jak pamięć i rozsądek i nic nam nie było dane w stanie takim, w jakim kiedyś od nas odebranem będzie... Przypowieść ewangeliczna o użyczonym przez pana talencie słudze swemu — jest tylko nakazem ustawicznego, niezmożonego niczem dorabiania się majątku człowieczeństwa, z drobnym tym, niezmiernie drobnym kapitałem, jaki przecięciowo istoty ludzkie od natury otrzymują. W widokach takiego dorobku zawiązaną jest rodzina: nie konieczność naturalna, ale potrzeba rozumna zawiązuje ją w tym celu. Trzeba tę rozumną potrzebę uznać — zgarniając do duszy wszystko, co tylko wolę i siłę działania edukacyjnego w rodzinie spotęgować może. Miłość rodzicielska sama jedna nie rozwiązuje jeszcze wszystkich zagadnień wychowania. Do śmierci się uczymy, a umierając jeszcze „to tylko wiemy, że nic nie

umiemy". [1]) Życie jest pełnem tajemnic... Odgadujemy je tylko — i jak nikt niema prawa mówić, że nauki nie potrzebuje, tak nikt też nie może rościć sobie pretensyi do nieomylności.

(Dokończenie nastąpi.)

POD DZIAŁEM KRUPPA [2])

(przekład z Tennysona).

Moc, którą człowiek dzisiaj w ręku trzyma,
To niby z bajki czarnoksięzkie buty;
Jak świat szeroki leży przed oczyma
Dobieży wszędzie ten, co w nie obuty,
Lecz cóż, gdy celu takiego już niema,
By milowemi aż go ścigał rzuty?
Ludzkość dni naszych jest nakształt olbrzyma,
Któryby sam się zrównał z liliputy.
Niebo brać może szturmem, lecz nie bierze,
Przez żądz swych niskość w karlej żyjąc sferze.

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg.)

Opowiadanie Pawła Chromińskiego.—Hrabina Henryka —Wylew Wisły.—Topielce.—Doktór Cavalle.- Śmierć Henryki.

— O! droga pani moja! obudzasz pamięć lat dawnych, kiedy krew kipiała gwałtownie, i ogień miłości gorzał! Miałem lat dwadzieścia cztery, gdym przyjął obowiązki u hrabiego Konrada, ojca Adama; ten liczył dopiero trzeci rok życia. Matka, pomimo odradzania, spełniła swój święty obowiązek i sama go wykarmiła, ale i zaniemogła. Doktorzy mówili, że karmienie jej zaszkodziło, ale to nieprawda; był inny powód choroby.

— A jakiż?—zapytała hrabina ciekawie.

— Oto, że nie kochała męża. Dusza jej czysta i anielska bolała wciąż nad jego niewiarą, samolubstwem i brakiem serca. Zbierał długie lata pieniądze, ażeby je potem roztrwonić. Kiedy objąłem zarząd dóbr Jazdowskich i innych, liczyła dwudziesty drugi rok życia, ale wyglądała zaledwie na siedemnaście. W całej postaci drobnej a smagłej, podobna była do zmarłej matki Stefanka, podobna z rysów twarzy i tego anielskiego spojrzenia, jakie miała nieboszczka, a które jeszcze więcej coś uroczego miało w oczach hrabiny Henryki. Mieszkaliśmy pod owe czasy w Kalinowym-Chruście nad brzegami Wisły. Był to właśnie miesiąc czerwiec, starzy ludzie przepowiadali wielki wylew Wisły, bo od paru dni zaczęła gęsta piana, jak płaty śniegowe ukazywać się na wodzie, a wieści coraz więcej niepokojące przychodziły co chwila. Wcześnie kazałem przeto łodzie i krypy przygotować, chleba napiec i jadła przysporzyć, bo chociaż do naszego dworu nigdy wylew nie zajrzał, ale tak go otaczał w około, że trzymał mieszkańców jak w oblężeniu. Tymczasem rzeka wzbierała coraz bardziej, aż nadeszła straszna noc w samą wigilię św. Jana. Na wyżynach lud bawił się jeszcze ochoczo, wesołe ogniska *sobótkowe* rozpalał i skakał przez nie z radosnym okrzykiem, brzmiały pieśni i dudarze, ale około północy, przeraził wszystkich krzyk przestrachu mieszkańców na Ostrej-Kępie, którzy musieli się schronić na poddasza. Przyznam się pani, że kiedym pierwszy raz ujrzał hrabinę Henrykę, dziwnie oczarowany byłem jej widokiem. Mąż jej wyjechał już zagranicę; gdym ją zobaczył, sądziłem że to raczej córka jego, bo to był człowiek dobrze podżyły, liczył z górą lat pięćdziesiąt, a używanie swobodne świata dodawało mu wieku. Kiedym wszedł, zastałem ją w białej sukience i stanąłem skamieniały. Zdawało mi się, żem ujrzał anioła, który tylko co spłynął z pod obłoków, przemieniwszy się w jej postać, i dopiero co zwinął białe skrzydła, z których na jej ramionach zdawało się, że dostrzegam puszek lekki. Widać, że dostrzegła moje pomięszanie, bo z dobrocią sobie właściwą, rzekła słodkim, melodyjnym głosem:

— Męża mego niema, nam teraz zostało staranie o nieszczęśliwych topielcach. Czy zarządziłeś pan co potrzeba?

Te słowa przywróciły mi zmysły.

— Tak pani hrabino, wszystko gotowe, przyszedłem po jej rozkazy.

— Pan sam wiesz najlepiej jako mężczyzna, co robić, a ja ci za biedaków wcześnie dziękuję.

I podała mi swoją drobniuchną a białą jak lilia rączkę. Ukląkłem i z uszanowaniem pocałowałem, a ona, gdym spojrzał w jej blade oblicze, stała drżąca i rumieńcem oblana. O pani moja! (mówił starzec głęboko wzruszony) dotknięcie jej ręki czuję jeszcze dzisiaj: na każde to wspomnienie ogarnia mnie rozkosz niebiańska. W tę chwilę nadpłynęła straszna burza i wichura zawył. Pomimo tego krzyk nieszczęśliwych górował nad grzmotami, wichurą i piorunami.

— Śpiesz pan! śpiesz! słyszysz wołanie o pomoc?

Wybiegłem co prędzej: przy huku gromów, przy poświście zadymki piaskowej, wśród błyskawic, ujrzałem na dachu chaty pochylonej matkę z trojgiem dzieci, — czekała śmierci. Niebyło czasu do namysłu, z dwoma śmiałymi flisakami, dosiadłem większej łodzi i pomimo wzburzonych fal rzeki, wiedzeni jednym zapałem, dobiliśmy do kępy. Matka i dwoje dzieci już były w naszej łodzi, ale pozostał kilkoletni chłopczyna, uczepiony o drabinę obok komina i wołający ratunku. Sam więc poskoczyłem, schwyciłem go w objęcia, i gdym go już oddawał flisakom, krokiew oderwana z chaty obalonej bałwanami wody, uderzyła mnie w głowę — i padłem bezprzytomny. Co się dalej stało nie wiedziałem, ale gdym otworzył oczy, ujrzałem się w pokoju jasno oświeconym płomieniem z kominka, bo zimny wiatr dął na dworze i grad padał. Przy łożu mojem siedziała sama hrabina i robiła szarpie. Drobne jej paluszki szybko wydzierały osnowę, którą na małym układała stoliczku. Zdało mi się, że to marzenie senne najrozkoszniejsze w życiu mojem. Przymknąłem oczy, ażeby drogie widziadło nie prysnęło. Czułem wielki ból głowy, ale gdym spojrzał na tę anielską postać, cierpienie moje znikło jak pod balsamem gojącym. Spostrzegła moje poruszenie i podniosła spojrzenie. Jej oczy, jak niebo lazurowe, długi czas spoczywały na mnie, a siła ich jakaś nieznana trzymała mnie w bezwładności. Zdawało mi się, że niebiosa roztwarte i ujrzałem światło, co miało zbawić duszę moją. Rozkosz niesłychana radość tak serdeczna a pierwsza w życiu mojem, musiały wybić się na mojem obliczu; piersi gwałtownie wzbierały przyśpieszonym oddechem. Ona się uśmiechnęła, z takim wdziękiem uroczym, że mi łzy szczęścia z oczu trysnęły. Widząc moje wzruszenie, powstała, przyłożyła rączkę swoją do palącego czoła, poprawiła obwiązanie głowy i wyrzekła przyciszonym głosem:

— Uspokój się, panie Pawle! Jesteś dzielnym człowiekiem, bądź mi zawsze przyjacielem i mojego syna. Śpij spokojnie—to cię umocni, ja teraz pójdę spocząć. Do widzenia, mój przyjacielu!—Nie umiem pani wypowiedzieć co się działo we mnie. Czułem dreszcz po całem ciele, a ruszyć ręką nie mogłem. Pamiętam, żem się zalał rzewnemi łzami i słodko zasnąłem. Musiał mnie sen długo trzymać, bo obudziwszy się nazajutrz ujrzałem siedzącego w fotelu Cavallego, doktora nadwornego, który służył jako lekarz w Legionach włoskich i wyuczył się dobrze po polsku. Był to poczciwy i zacny człowiek.

— Cóż, czy ci lepiej dzisiaj, kochany Pawle? zapytał.

— O, czuję się znacznie zdrowszym, ból głowy zupełnie ustał. A jak się ma pani hrabina?

— Jak zwyczajnie!—odrzekł smutnie—kaszel się zwiększył po wczorajszem zaziębieniu przy twoim ratunku, bo sama wybiegła do łodzi, na której cię przywieziono, i zamoczyła nożęta. A to wątła osoba, tak jakby pajęczyna, trzymająca się świata. Zbladłem jak ściana: Cavalle z przerażeniem zerwał się i zapytał wzruszonym głosem:

— Co ci, to Pawle?

A ja czułem, że ucieka ze mnie życie—ale słowa jego przywróciły mi przytomność.

— Głowa mnie strasznie załupała! — odrzekłem: chociaż w niej bólu nie czułem. On przyskoczył, lekką ręką zdjął bandaże z rany, obejrzał ją troskliwie i powiedział spokojnym głosem:

— Dzięki Bogu! ciężkie było uderzenie, ale silna czaszka—rana wkrótce się zagoi.

Poczem usiadłszy napowrót w fotelu, mówił jakby do siebie:

— Biedna Henryka! potrzeba, żeby żyła dla syna którego tak kocha, dla wszystkich nieszczęśliwych, których tak hojnie wspiera, a codzień gorzej, nie szanuje się jeszcze do tego....

Każde jego słowo dobijało mnie, podniosłem głowę i drżącym zapytałem głosem:

— Co drogi doktorze począć, ażeby ją ocalić? O! powiedz, na Boga! ja wszystko zrobię.

— Mój Pawle! — odrzekł starzec kiwając głową, przedłużyć jej życie można, otoczywszy troskliwem staraniem, pracując nad zagojeniem ran tej zbolałej duszy. Rodzice zmusili do oddania ręki hr. Konradowi. Prawda, nie kochała nikogo, bo to młodziuchne stworzenie; z jej stryjem byłem w Legionach w jednym batalionie, on zabijał i ranił wrogów, jam leczył. Dopiero jak ptaszek z gniazdka zaczęła rozwijać do polotu skrzydła. Hrabia ujęty jej pięknością, niepowiem, żeby się w niej rozkochał, ale chciał ją pojąć za żonę. Ojciec, szlachcic na jednej wioszczynie odłużonej, sądził, że otwiera raj swemu dziecku, chętnie dał słowo w imieniu córki i ślub przyśpieszył. Matka, zacna kobieta, ale pod wpływem wszechwładnego męża, podzielała w zupełności jego zdanie; na rok przed tym poznałem piękną Henryczkę i hrabiego Konrada. Na pierwszy rzut oka, nie podobał mi się wcale i pomyślałem sobie w duchu, że jabym mu swego dziecka nie powierzył nigdy. Henryka sama myślała, że przy wolnem i swobodnem sercu męża pokocha, który odrazu takim ją dostatkiem otoczył, ale zimny ten człowiek, pełen dumy rodowej, wkrótce po ślubie odstręczył ją na zawsze od siebie. O! ileż razy, znajdowałem ją gorzkiemi łzami zalaną, ileż nad nią bolałem! Po roku pożycia, urodził się syn; to ją orzeźwiło w smutku, sama go karmiła, piastowała i była aniołem stróżem nad jego kołyską. Wkrótce przybyłeś i już wiesz resztę. Teraz, mój Pawle, podaj mi rękę i pracujmy razem nad jej ocaleniem.

— Więc jest jeszcze ratunek!—zawołałem w uniesieniu radości, porywając podaną mi dłoń Cavallego, całując ją i tuląc do serca.

— Nigdy nie tracę nadziei!—odpowiedział—a ujrzawszy, że mi rumieniec na bladą twarz wrócił, ujął za puls i rzekł po chwili:

— Posil się obiadem, a po nim wstań i przejdź się powoli. Jeżeli poczujesz się silniejszym, dziś dzień piękny i ciepły, posiedź trochę na ganku, wcześnie połóż się: a jutro już nie będę u ciebie potrzebnym.

Uściskałem poczciwego doktora serdecznie, z niezwykłym apetytem zjadłem obiad i ubrawszy się wyszedłem na ganek. Słońce w całym blasku jaśniało; na pogodnem niebie ani jednej chmurki nie było. Spojrzałem na rozhukane niedawno tak wściekle bałwany Wisły: rzeka płynęła cicho i spokojnie, biała piana zniknęła, ustało wezbranie i woda znacznie opadła. Ale ten spokój jej przynosił coraz nowe zwiastuny nieszczęścia; płynęły chaty całe i rozbite, dachy stodół i obór, sprzęty domowe, konie jeszcze parskające przy żłobach uwiązane, niemogące się wydobyć z bystrego prądu, zarówno jak bydło rogate, które rykiem żałośliwym wołało pomocy. Lud z naszej wsi i z całej okolicy, niósł nieszczęśliwym topielcom dzielną pomoc; ura-

---

[1]) Słowa przypisywane szkole sokratycznej.

[2]) Wiersz ten napisany był przez angielskiego poetę laureata przy zwiedzaniu wystawy wiedeńskiej.

towano wielu ludzi, a prawie cały dobytek jaki płynął Wisłą.

Kiedy patrzyłem na to smutne widowisko, na ganku ukazała się panna Małgorzata, *wyprawna panna* hrabiny, a towarzyszka jej od lat dziecinnych.

— Pani, prosi pana, bom jej powiedziała, żeś już zdrowszy i siedzisz na ganku. Porwałem się co żywo. W małym buduarku siedziała przy oknie wychodzącym na rzekę hrabina Henryka, blada i mocno kaszląca. Kiedym stanął na progu, wyciągnęła do mnie rękę.

— Cieszę się— wyrzekła cichym głosem—że pana widzę już zdrowszym, przyszły tu właśnie od mego męża listy pilne.

I podała mi dwa listy: odczytałem je, w nich hrabia Konrad polecał, ażebym zgromadził jak najwięcej gotówki; dla pośpiechu kazał sprzedać część puszczy Zielonej. Pożegnałem hrabinę i ruszyłem w drogę.

Układy o sprzedaż drzewa poszły pomyślnie, w tydzień jużem przesłał weksle na sześć tysięcy dukatów do Paryża, za co serdeczne otrzymałem podziękowanie; w liście do żony polecał, ażeby oddzielnie dziękowała mi jeszcze.

Po dziesięciu dniach wróciłem smutny i stęschniony, pusto było we dworze. Panna Małgorzata wyszła do ogrodu z Adasiem po świeże kwiaty, reszta służby rozbiegła się w różne zakątki. Przeszedłem przedpokój, salon: w pokoiku od ogrodu stała hrabina zwrócona twarzą ku oknu; trzymała w ręku kilka róż czerwonych. Na mój widok, wydała lekki okrzyk, obejrzała się w około, a widząc, żeśmy sami, podbiegła ku mnie i zarumieniona, podając obie rączyny, rzekła ze słodką wymówką:

— A godziż się tak o swej przyjaciółce, o swej siostrze zapominać? A jam tęschniła i bardzo tęschniła bez ciebie; wczoraj nawet płakałam, bo myślałam, że w tej strasznej puszczy może cię jaki przypadek spotkał i jabym została sama z moim Adasiem, — dwie sieroty....

I podała mi róże.... mam te relikwię zachowaną dotąd.

Przestał mówić, bo mu głos drżał i oczy perliły się łzami; skłonił głowę smutno na piersi i odszedł w ciemny szpaler lipowy.

Klara, patrząc za nim ze współczuciem, ujrzała jak oparł czoło o pień jaworu, co zamykał ten szpaler—i długo, długo stał nieruchomy. Przemógł jednakże swoją boleść i wrócił na dawne miejsce.

— Daruje pani, mojej przerwie w opowiadaniu, mówił spokojniejszym głosem; są rzeczy, o których radby człowiek ciągle mówić i powtarzać, mając tak łaskawego i współczującego słuchacza, ale są wspomnienia od których serce się ściska i szuka ulgi w strumieniu łez rzewnych. Lato prędko przeminęło, zarówno jak jesień. Zajęty pracą, każdą chwilę wolną jej poświęcałem; listy znowu naglące o pieniądze jedne po drugich przybywały. Trzeba było znowu część puszczy Zielonej Abrahamowi rudemu sprzedać i pieniądze przesłać. To zajęło mi trzy tygodnie czasu; za powrotem znalazłem hrabinę Henrykę daleko słabszą.

— Mój drogi panie Pawle, mówiła mi smutnym głosem, mnie już nie długo gościć na waszym świecie, nie opuszczaj mnie, bo samotność zabija. Dzień jeszcze jako tako przeminie, pogwarzy, pobawi Adaś, to i rozrywka, ale wieczory długie, to okropność.

Nadeszła zima mroźna i śnieżna, styczeń i luty przeszedł szczęśliwie, na początku marca ostre wichry zadęły, i ona nagle jak kwiat więdnąć mi poczęła. Cavalle, gdy ją ujrzał, odszedł smutny, a ściskając mnie za rękę w drugim pokoju, szepnął do ucha:

— Życie jej gaśnie, najdłużej tydzień pożyje, może nawet krócej.

Skamieniałem. Zdawało mi się, że piorun we mnie uderzył.

— Sprowadź Ojca Prokopa z klasztoru, mówił doktór, to jej spowiednik, on ją chrzcił, niech przygotuje do nowej wędrówki.

Nie mógł poczciwy Cavalle więcej mówić, bo łzy mu stanęły w oczach i odjechał.

W nocy krew rzuciła się jej ustami i osłabła więcej. Ojciec Prokop przybył około południa. Na jego widok chora się uśmiechnęła rzewnie i wyciągnęła wychudłą rękę na powitanie, a gdy poważny kapłan dotknął jej pomarszczoną dłonią, porwała ją i całowała długo, skrapiając łzami.

— Ojcze kochany! — mówiła słabym głosem — dziękuję ci, żeś mnie nawiedził, ale—ale proszę już mnie nie opuszczaj. Przygotuję się do świętej spowiedzi i będzie mi lżej, gdy ciężar grzechów moich złożę u stóp twoich.

— Ciężarem twoich grzechów—odrzekł z uśmiechem łagodnym ksiądz Prokop—a toby i komar się niepodźwigał! Dobrze, już ztąd nie odjadę tak prędko, albo mi tu źle? Pan Paweł dał mi komnatkę w tym dworze jak moja cela; jest kominek, co weseli płomieniem, a potem i ty sama moje dziecko kochane, przypominasz mi lepsze czasy, kiedym cię chrzcił, a potem słuchał katechizmu. Dziś odpocznij, jutro rano odprawisz spowiedź i świętą komunię przyjmiesz, a jak tylko zbierzesz siły, napisz do męża.

Kiedy hrabina Henryka trwożnie na kapłana spojrzała, on zrozumiawszy jej myśl, spokojnie przemówił:

— Nie lękaj się niczego, moje dziecię, w ręku Boga są godziny naszego życia. Kto tak czysty jak ty, ten z uśmiechem może patrzeć na sprawy tego świata marnego.

Przybycie Ojca Prokopa orzeźwiło nas wszystkich. Chora kazała nakryć do stołu w swojej sypialni i razem spożyliśmy obiad. Na blade jej oblicze lekki rumieniec wybił, uśmiech wdzięczny zajął miejsce smutnej zadumy i uczuła się zdrowszą i silniejszą, rozmawiała więcej niż zwykle, była swobodną a nawet wesołą. Całą noc przespała smaczno.

Nazajutrz rano odbyła się spowiedź, a w obecności mojej, Adasia i Małgorzaty, przyjęcie Komunii świętej. Poczem prosiła o chwilę samotną, chciała napisać list do męża i testament.

Pisała przeszło godzinę, poczem usłyszeliśmy jej dzwonek. Gdym przybiegł, prosiła ażebym odczytał list jaki do męża napisała. W nim gorącemi słowy błagała go, ażeby oddał jej syna na moją opiekę i wychowanie. Testamentu nie dała mi do czytania, ale złożyła go na ręce kapłana, który go opieczętował i u siebie zachował.

Od tej chwili zdawało się, że na nowo odżyła, pieściła Adasia, a mnie prosiła, ażebym był przy niej ciągle. Wieczorem do późna była wesołą i rozmowną. Gdyśmy zostali sami, spojrzała oczyma dziwnie rozświeconemi.

Podała mi rękę, ja ukląkłem, ona wyszeptała przerywanym głosem:

— Żegnam cię mój przyjacielu, pamiętaj o mnie i o Adasiu....

W tę chwilę wszedł Ojciec Prokop i gdy spojrzał na spoczywającą na łożu, żywo się zawrócił, przyniósł oleje święte i gromnice. Na rozruch we dworze, Małgorzata przyniosła w koszulce Adasia, zbiegli się domownicy. Spojrzała wdzięcznie na grono zapłakane, skinęła głową jakby dziękując, ujęła drżącą ręką zapaloną gromnicę, a gdym ujrzał jak z martwiejącej dłoni wypuściła ją, padłem bez przytomności.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA
O JANASZU KORCZAKU
I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Na sen nieraz długo czekać było potrzeba, gwarzyli więc pocichu, głośno bowiem nie wolno było, Słowak posłyszawszy przychodził ich za to mordować. Janasz opowiedział Zbylutowskiemu całe dzieje swoje, ten też się wyspowiadał z doli i niedoli. Człek był już od Janasza znacznie starszy i wiele rzeczy pamiętał. Gdy nie stało własnych, bawili się powieściami o cudzych losach, dla zapomnienia teraźniejszości.

Raz, gdy tak gwarzyli, Zbylutowski, który był chodzącą genealogią szlachecką, bo wszystkie domy znał i ich kolligacye po całej Rzeczypospolitej, przypomniał, że Korczaków znał w Sandomierskiem; jednego szczególniej sławnego sknerę i pieniacza, któremu dano przydomek Skwarka, dlatego, że chlebem i przyskwarzoną słoniną żył cały okrągły rok, w poście tylko zamiast niej, oleju do chleba używając.

O tym Korczaku słyszał coś i Janasz, wiedząc, że było jakieś pokrewieństwo między nimi, ale gdy go rodzice odumarli a do niego się z sierotą zgłoszono, miał odpowiedzieć że—szpitalu u niego niema. Nigdy się więc już potem o niego nie dowiadywał i zapomniał był cale. Przesunęło się to wspomnienie razem z innemi i więcej o tem mowy nie było.

Około świąt Bożego Narodzenia, między Turkami poczęły chodzić wieści, iż sułtan Kara-Mustafę, zięcia swojego, za nieszczęśliwą wyprawę, w której tyle ludu pogubił i taki srom na chorągiew Proroka sprowadził — śmiercią ukarał, wedle ich obyczaju. Posłał mu pismo i jedwabny sznur, którym go uduszono. Mówiono też o strasznej sile, z wiosną mającej się wylać na kraje chrześcijańskie.

Z obozów i od króla nic jeszcze słychać nie było. Janasz dziwił się tej obojętności, ale wreszcie zdrętwiał, zwątpiwszy już, aby mógł być uwolnionym. Zapowiadano mu, że go do Stambułu odprowadzić mają. Trudno się było okupu tak wielkiego, jakiego Aga żądał, spodziewać. Dziwiło go to jednak, iż dosyć się w końcu względnie z nim obchodzić zaczęto, i gdy raz zachorzał był, nawet w cieplejszej izbie leżeć mu dozwolono. Wygadał się w końcu Słowak, że już trzy razy przyjeżdżano dając zamianą kilkunastu Turków za niego, lecz Aga, im więcej o to naciskano, tem wyżej cenę podnosił.

— Jeszcze waszmość się wydostaniesz jako tako— mówił Zbylutowski, ale co ja, zginąć tu muszę, a że twardo dusza siedzi w ciele, będzie tej męki na długo. Byle człek modlitwy nie zapomniał i w bydlę się nie zmienił.—

Tymczasem stało się to, czego się najmniej spodziewano: jednego poranku wyciągnięto Zbylutowskiego z izby i zapowiedziano mu, że go wymienić mają. Zrazu nie mógł swego szczęścia zrozumieć, tak przychodziło nieoczekiwane; potem osłupiał, wreszcie całkiem oszalał. Janasz miał tylko czas żegnając się z nim, prosić go, aby o nim doniósł, że żyw jest, bo Turcy różne czasem wieści puszczali, i że cierpliwie czekać będzie, aż nań kolej przyjdzie wydobycia się z niewoli.

Został więc Janasz sam znowu i z podwójną robotą, bo na niego za obu spadła. Minęły znowu tygodnie i miesiące. Zbierało się już ku wiośnie, gdy Aga przybywszy raz z zamku, więźnia do siebie zawołać kazał.

Młody ten Turek, którego zdala tylko widywał dotąd Janasz, nielitościwym był dla ludzi swych i jeńców. Zdziwił się wielce Korczak, gdy mu do niego iść kazano, bo do nowej winy się żadnej nie czuł. Przez czas pobytu swojego nieco języka się nauczywszy, mógł rozumieć cokolwiek i bez tłumacza, ale Słowak, który z nim szedł, miał służyć za drogmana.

Gdy go do izby wprowadzono i stanął u progu, długo milcząc czarnemi oczyma wpatrywał się w niego i badał Turek; naostatek pytać go kazał, z zaklęciem na Proroka Chrystusa, (jak się wyrażał) ktoby on był w istocie, i jakie miał środki do wykupu?

— Żadnych a żadnych nie mam — odpowiedział Janasz, jestem sierota, ubogi i oprócz łaski pana, u którego służyłem, nic więcej nie posiadam. Turek wołał, że to nie może być, że tyle starań o niego czyniono, iż ze znacznej rodziny być musi.

— Gdyby w istocie tak było, dawnobyście okup otrzymali.

Nie mogąc więcej nic z niego dobyć, odprowadzono go napowrót do izby. Słowak, którego obejście się z jeńcem cokolwiek się zmieniło, powiedział mu na ucho, iż o wymianę i okup przysłano i że za niego syna jakiegoś Paszy ofiarowano, a Aga tysiąc jeszcze dukatów mieć żądał.

Do wieczora nie zmieniło się nic; trocha nadziei wstąpiło w Janasza, ale gdy się nic do późna nie doczekał, westchnął i położył się w słomie, nie myśląc o tem więcej. Nazajutrz rano o tej godzinie gdy zwykle do roboty go pędzono, nie przyszedł

nikt. Później dopiero nieco Słowak drzwi otworzył, i Janasz ujrzał tego samego Węgra, z którym pierwszą razą przybył, uśmiechającego się doń zdaleka.

— A toć waszmość chwała Bogu żyw — odezwał się, bom sądził, że cię już dawno na tym świecie niema. Turcy przy wymianach, znać posądzając, żeś coś więcej wart od drugich, mówili waszmości umarłym.

Uszom swym nie wierząc prawie, wstał Janusz, ale też mu kajdanki na zamek zakładane zaraz Słowak zdjął i puścił. Do młodego Agi nie było po co iść, ale na zamek do ojca jeszcze go zaprowadzono, gdzie obu kawą poczęstowano, a Węgier zaraz od żołnierzy odzież kupił, bo Janasz był straszliwie odarty i w łachmanach cały. Ledwie się odziawszy chciał spieszyć Bogu dziękować za swobodę — ale i konia jeszcze dostać było potrzeba i Węgrzyn miał innych do wydobycia z niewoli. Tak się ich zebrało Polaków i Niemców do dziesiątka—i w wesołem towarzystwie, wszyscy Bogu dziękując, pośpieszyli do Komorna.

Janasz, w którym życie na poły było wygasło wśród tej nędzy, której końca dojrzeć nie mógł, powoli rozmarzał się, poczynał myśleć i snuć plany przyszłości. Wracały nadzieje i smutki dawne. Były one innego rodzaju nad to co doznawał w niewoli. Tam dźwigało się życie z obowiązku, teraz przychodziła znowu walka z sercem i losem na pozór lżejszym, w rzeczy tem sroższym, że bólu nikt widzieć, ani oń mógł posądzać.

W podróży towarzysze jego wszyscy, gdy się już z pod panowania tureckiego wydobyli, okazywali wesołość niemal do szału posuniętą, on jeden był smutny. Strofowali go więc, że Panu Bogu za łaskę wdzięczen być nie umiał. Milczał na to tak jak w niewoli, gdy go smagał dozorca.

W podróży garstka towarzyszów powoli się rozpierzchła po świecie, tak iż we czterech ledwie dostali się do Krakowa.

Janaszowi powiedział Węgier, iż królowi szczególniej winien był oswobodzenie swoje, należało więc upaść do nóg i podziękować.

Lecz w dziwacznym tym stroju, który mu Węgier kupił, na pół tureckim, pół węgierskim, jak się było na zamku pokazać? Pieniędzy na zakupienie innych sukni nie miał. Wprawdzie obyczajem ówczesnym wracający z jasyru, jak kto stał, szli do kościoła i do króla jegomości, niektórzy nawet kajdany niosąc, jeśli je zabrać z sobą mogli. Janasz, łańcuch, który na rękach nosił, dostał w podarunku od Słowaka i chciał go w kaplicy w Mierzejewicach powiesić.

Wjechawszy do miasta, które z powodu pobytu króla i królowej pełniuśkie było ludzi, Janasz szukał jak błędny kwatery, gdzieby mógł się oczyścić i odpocząć, gdy z konia zsiadłszy a wiodąc go za sobą, poczuł nagle, że mu ktoś na szyję rękę zarzucił i całować go począł.

Odwrócił się nagle i postrzegł do niepoznania zmienionego Zbylutowskiego.

Odżywił się już był na krakowskim chlebie, wybielał i przyrumienił, a strój piękny czynił go nowym człowiekiem.

— Otom szczęśliwy!—krzyknął na cały głos Zbylutowski—jam tu z żoną i z dzieckiem od tygodnia. Jak na nowo powrócony do życia, cieszę się, rozkoszuję i nigdy mi tak nie smakował świat jak dziś, gdym pożegnawszy się z nim, napowrót doń powrócił. Niechże się z tobą podzielę szczęściem, towarzyszu niedoli.

Zaczęli się ściskać w ulicy, aż ludzie ich kołem otoczyli z ciekawości. Janasza po stroju było poznać, że z niewoli wprost jechał.

— Zajeżdżaj do mojej gospody—zawołał Zbylutowski — żonka się postara, abyś głodnym nie był. Porwał go tedy pod rękę i wiódł jak swojego.

— A chcesz — rzekł po chwili szlachcic, to cię jeszcze ze Skwarką Korczakiem poznam, wszak ci tu jest! widziałem go. Wyszedł na dziadka kościanego, tak zestarzał, a kaszle, dychawicę ma czy co...

— Bóg tam z nim! anim jego ani dychawicy nie ciekawy—odezwał się Janasz.

Tak rozmawiając, do gospody się dostali. Nie osobliwa była, ale dla Janasza izba, a dla konia kawał żłobu się znalazł. Nie dając odetchnąć Korczakowi, Zbylutowski go do żony poprowadził, której wiele o nim opowiadał. Kobiecina była młoda i skromna z synaczkiem na ręku. Tego zaraz mężowi oddała, aby się z jego wąsami bawił, a sama poszła o jedzeniu pomyśleć.

Tak szczęśliwie Janasz, który się tu obawiał zostać bez znajomych i pomocy, znalazł ją w Zbylutowskim, chętną i serdeczną.

Rad się był coś o Mieczniku dowiedzieć, lecz szlachcic mu w tem posłużyć nie mógł. Reszta dnia zbiegła na wypoczynku i przypomnieniach niewoli. Zeszło się i więcej ciekawych i do nocy gwarzyli. Nazajutrz począł się Janasz krzątać, żeby na zamek do króla trafić i o Mieczniku dostać języka. Wszyscy mu radzili tak iść jak stał, to też Korczak uczynił. Ale na zamek do króla się dostać nie było łatwo, bo cały Boży dzień dziedzińce były pełne senatorów, duchowieństwa, cudzoziemców, wojskowych, ciżby wszelkiego rodzaju i języka. Zameldował się więc Janasz jako powracający z niewoli i czekał.

Było z nim kilkudziesięciu uwolnionych, więc Sobieski ich razem do ucałowania ręki przypuścił. Pamięć miał prawdziwie hetmańską, bo kogo raz, szczególniej w polu i wojsku widział, rysy sobie natychmiast przypominał a często i nazwisko.

Janasza spostrzegłszy, stanął i myślał długo. Uderzył się w czoło.

— Gdzie ja waszmości widziałem?—odezwał się

— Pod Zeczynem, N. Panie, gdym z okupem dla p. Miecznika Zboińskiego przybył.

— Już wiem! tak — rzekł Sobieski, ale mu się twarz chmurą okryła—i oba z Miecznikiem pięknieście się mi spisali, jak dwu wartogłowów. Żeś też waszmość od tego kroku nie powstrzymał starego, co go omal życiem nie przypłacił!

— Jam niewinien N. Panie—odezwał się Janasz, Miecznika żadna siła nie pohamuje, gdy nań chwila taka przyjdzie.

— Ja go znam, to prawda—rzekł król—a i waszeć dobrą odbyłeś pokutę. Turcy cię za umarłego podawali przy wymianach, a potem się na okup zasadzili, ale przecie jakoś się udało.

— Przybyłem do stóp Waszej Królewskiej Mości podziękować.

— Chwała Bogu, chwała Bogu i Bogu nie mnie dziękuj. Miecznik tam asindzieja bodaj opłakał, bom mu doniósł, że umarłeś. Ucieszy się, gdy cię żywym zobaczy.

Popatrzał król na niego.

— No—wyglądasz jak wracający z niewoli, wytchnij tu sobie — rzekł — a masz-że jaki grosz przy duszy, czy nie?

Janasz zmilczał.

— Pewnie jak święty turecki, od Turków wracasz — dodał śmiejąc się i odwrócił zaraz do stojącego za nim marszałka dworu:

— Dwadzieścia czerwonych złotych każcie mu wyliczyć, a ja się z Miecznikiem porachuję.

Janasz się skłonił.

— Odpoczywaćbym tu nie chciał—odezwał się—i prosiłbym, żebym mógł zaraz jechać.

— No—to jedź—a Miecznikowi powiedz niech mi się wysztyftuje, bo aby cokolwiek ciepła, musi zemną znowu iść. A waszeć?—zapytał Sobieski.

— Gdyby p. Miecznik się zgodził, miałbym się za szczęśliwego, gdybyś mi W. K. Mość pod swoją chorągiew zaciągnąć się pozwolił, choćby w cudzoziemskim autoramencie, bo pocztu jako sierota niemam z czego wystawić.

— To ci się nawet należy—odezwał się król—boć na Turkach *revanche* wziąść potrzeba za to, co się od nich ucierpiało. Jedź-no jedź, a gdy się odpasiesz, miejsce ci znajdę.

Król mu dał rękę do pocałowania—i na tem się posłuchanie skończyło. Wychodzącemu we drzwiach marszałek oddał dwadzieścia dukatów; Janasz wyszedł z zamku już tylko myśląc jakby się do Mierzejewic dostać co najprędzej.

Nim jeszcze na zamku, był w kościele rano; nie pozostawało więc nic, tylko do gospody spieszyć, Zbylutowskich pożegnać i o furze myśleć, gdyż na koniu się tak stłukł osłabły Janasz, że na nim już podróży odbywać nie mógł. Wprost tedy szedł do Zbylutowskich.

Ledwie się we drzwiach pokazał, z drugiej izby wyjrzawszy towarzysz zawołał:

— Otóż i on jest.

A w tem wyjrzała siwa głowa i twarz w marszczkach cała, przygarbionego nieznajomego człowieka. Starowina był jakiś nędzny, pokorny, ubogi, w wyszarzanym i zleżałym kontuszu długim, który niegdyś na lepszą tuszę był robiony, bo na nim wisiał jak na kołku. Oczyma małemi przymrużonemi, namarszczywszy czoło pilno się wpatrywał w nadchodzącego. Zbylutowski się śmiał.

— Poznajcie się ichmoście, bo to jedna krew, obaście Korczaki.

Dopiero się Janasz domyślił, że to był ów sławny Skwarka, który niegdyś przytułku mu odmówił, zarzekając się, że u niego szpitalu niema.

Więc zdala mu się bardzo pokłonił i nie myślał narzucać.

Skwarka zaś obie ręce rozstawiwszy, przyszedł doń niezmiernie czule ściskać, szepleniącym i cieniuśkim odzywając się głosem:

— Kochaneczek! Korczak! mój Boże, nasza krew, z niewoli! z tureckiej! Niech cię uścisnę, mój gołąbku!

Janasz dał się uścisnąć, w ramię go pocałował, już poczuł stęchliznę kontusza, ale wnet odstąpił. Korczak stary siadł i jak w tęczę w niego patrzał—zmrużonemi oczyma, powtarzając—gołąbeczek!

— Pan Korczak — rozśmiał się Zbylutowski — bardzo was chciał poznać. Wszakżeście krewni.

— Myślę, że dalecy—odparł Janasz.

— Albo dalecy albo i nie tak bardzo, gołąbku mój, rzekł stary, twój dziad był Fabyan, a z moim ojcem Sebastyanem rodzeni byli, tak, kochanie moje. Nam w rodzinie zawsze się nieszczęściło. Wola Boża, kogo kocha Bóg temu krzyże zsyła, tak! mój gołąbku. Waszecia ojciec wszystko stracił, mój także; nie miałem nic, wyszedłem w świat w łatanej koszuli.

— Aleś się waszmość za to pięknej fortuny dorobił—rzekł Zbylutowski.

Stary rękami potrząsł.

— Ja? któż to wam mówił. Nędza! długi, bieda! nieurodzaj, procesa, pieniacze; ostatni grosz patronowie wyssą z kieszeni.

Nędzarz jestem!—

Spojrzał na Janasza, który nie mówił nic. Pilno mu było myśleć o podróży, ale Zbylutowscy od obiadu puścić nie chcieli. Misa już szła na stół z krupnikiem. Niespodziani goście czynili przyjęcie nieco trudnem, talerze się jakieś znalazły, ale łyżek brakło.

Okazało się że stary Korczak, obyczajem dawnym, zapazuchą miał łyżkę podróżną, którą wożono niegdyś zawsze, bo szlachcic bez szabli, noża, łyżki i krzesiwa nie stąpił. Dla Janasza pożyczono u gospodarza i śmiejąc się do stołu zasiedli, a przypominając jak żyli i karmili się u Agi.

Słuchała pani Zbylutowska wzdychając i męża pocałowała za to, że tyle wycierpiał. Korczak wzdychał nad nieszczęściami dwu jeńców, ale jadł łakomie i chciwie, z oczów Janasza nie spuszczając.

Polewka i pieczone mięso cały obiad składały, gąsiorek zieleniaku stał na stole, aby było czem popijać. I tego staruszek skosztował, a jakoś mu po nim oczy się otworzyły—bo zrazu jak kret patrzał—i usta się na uśmiech zbierały.

— Choć to niegrzecznie ledwie usta otarłszy łaskawych gospodarzy żegnać, rzekł wstając Janasz, ale komu w drogę, temu czas.

To mówiąc gosposię w rękę pocałował; towarzysza w twarz z obu stron, małego chłopaka w czoło, Korczakowi się nizko skłonił i chciał wychodzić, gdy stary co rychlej czapki i koszturka zaczął szukać i razem z nim pośpiesznie się za próg wybrał. Towarzysz to był niespodziany i niezbyt pożądany dla Janasza. Za progiem pochwycił go za rękę.

— Gdzie, kochanie, mieszkasz?—spytał — jabym słóweczko chciał z tobą pogadać.

Stali przy drzwiach izdebki, Korczak wszedł.

— Czego to ty, gołąbku tak się śpieszysz?—szepnął oglądając się — ja... ja chciałbym cię poznać i jeszcze lepiej pokochać. Bo i tak kocham, jako swoją krew.

Obejrzał się i głos jeszcze zniżył.

— Ja, ubogi jestem, to prawda, mówił dalej—strasznie ubogi... zjadły mnie z kretesem pieniacze, ale coś tam jest! cośby się tam po mojej śmierci znalazło. Ja dzieci nie mam, Stefuś mój w szóstym roczku biedaczyna skończył. Zestarzałem, zeszkapiałem, oczy nie służą, dychawica męczy. Spojrzał na Janasza, który milczał spokojnie, i wziął go za rękę:

— Gdybyś ty mnie chciał służyć i pomagać, a od-

dać mi się cały, hę? cośby się tam znalazło! Już nikogo nie mam.

— Ja wszystko winienem Miecznikowi—przerwał Janasz.

— A co ci Miecznik da?—zawołał Korczak—dudka na kościele? U mnie zawsze coś tamby się znalazło później. Już to biedy i głodu trzebaby przymrzeć, bo u mnie w domu chudo! ale.... Popatrzał znowu w oczy Janaszowi.

— Hę? gołąbku? co mówisz?

— Dziękuję panu dobrodziejowi za jego łaskawe względy—odparł Janasz. Bez żadnej nawet nadziei i nagrody gotówbym mu służyć, ale—jam do rycerskiego rzemiosła tylko zdatny.

— Piękne rzemiosło—syknął stary—guzy w zysku! Co waszmości potem? Na starość pod kościołem siedzieć: do czego ci to?

— Pan Miecznik mnie wychował jak własne dziecię, słucham go jak ojca, bez niego sobą nie rozporządzam, odezwał się Janasz, a oto i król jegomość, obiecał mi miejsce w swym pułku.

Korczak ramionami ruszył.

— Ale bo ty gołąbku, nie wiesz nic — rzekł — to się tak mówi, *propter invidiam*, że się niema nic. Ja tam wielkich rzeczy nie mam, ale zawsze coś jest. Kawałek ziemi nie szpetny.... jakbyś go oczyścił.—

Janaszowi pilno było.

— Daruj mi waćpan dobrodziej—rzekł—na prawnikam się nie rodził i nie uczył.

— O ja ci mówię, nie zarzekaj się, serdeńko moje, nie pluj na wodę, namyśl się. Ja poczekam. Jadę do domu, pisz do mnie na Sandomierz do Macieńczyna. Rozumiesz, gołąbku? Macieńczyna? Już tylko do Sandomierza, a tam mnie znają.

Począł ściskać mocno Janasza i nareszcie wyszedł.

Tegoż dnia Korczak najął konie i przed nocą już był w drodze....

W Mierzejewicach we dworze z powodu zapust zjazd był wielki.

Tak mówiono — chociaż sprowadzone skrzypki i sproszeni goście pod tym pozorem, zarazem byli przez pana Miecznika powołani, aby o domu jego popularności i zamożności w oczach Kasztelanica Jabłonowskiego świadczyli.

Jadąc z Podola do rodziców na Ruś, Kasztelanic tak jakoś się pokierował, ażeby mógł pani Miecznikowej złożyć uszanowanie.

Trafił tu na wielką radość z powodu oswobodzenia i powrotu samego Miecznika, który już od kilkunastu tygodni był w domu, i na smutek razem, acz ten milczeniem zbywano — gdyż przyszła wieść była z Krakowa, że Janasz, który ratował swego pana i dobroczyńcę, padł poświęcenia swojego ofiarą.

Miecznik nadzwyczaj to uczuł mocno. Przez dni kilka chodził jak osowiały, wzdychając i łzy ocierając, bo chłopca kochał bardzo. Jadzia zachorowała potem i tydzień była w niebezpieczeństwie, a wstawszy z łóżka, nie mogła jeszcze przyjść do siebie. Oboje rodzice pieszczotami starali się dziecię do życia przywrócić. Uśmiechała się im smutna, nie mówiła nic, ale chodziła jak cień i zmieniła się na twarzy straszliwie.

Miecznikowa jedna wiedziała przyczynę tego smutku dziecięcia, ale nawet przed mężem nie mówiła o tem, przed córką udawała, że się niczego nie domyśla, przed sobą nie taiła, że Bóg powołując do siebie Janasza, od wielkiego ją wybawił niepokoju. Modliła się za jego duszę i uznawała w tem Opatrzność Boską. Była bowiem pewną, że Jadzia przeboleje, przetęskni i zapomni.

A gdy wśród tej troski o jedyne dziecię, nadjechał niespodzianie Kasztelanic, o którym wiele mówiła mężowi, ucieszyła się niezmiernie, będąc pewną że to córkę rozerwie.

Nie był pan Miecznik od tego, ażeby świetną koligacyą dom swój podnieść, inaczej się jednak cokolwiek na to zapatrywał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Z postępem. — Komedya w 5 aktach, wierszem oryginalnie napisana przez K. Zalewskiego.

Dziwne koleje przechodziła komedya p. Zalewskiego; — zapowiadana, od Bóg wie jak dawna, odkładana z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień, ujrzała nareszcie światło kinkietów teatralnych, w obec licznie i chętnie zawsze na oryginalne sztuki uczęszczającej publiczności. Tej publiczności też przedewszystkiem podzięka się należy, za wytrwałą wiarę w powodzenie sztuk oryginalnych.

Nie jest to wszakże ślepa wiara; młody Fredro, Narzymski, Bałucki i innych kilku dowiedli, że na naszej niwie dramatycznej zdolności nie brak, że im tylko potrzeba wyrobienia, nabywanego przez częste sztuk wystawianie. Prawdziwa też zdolność, choć zrazu okaże pewną zawiłość w prowadzeniu intrygi, brak wprawy scenicznej lub inne usterki, okaże się jednak zawsze stanowczo, nie pozwalając wątpić o sobie.

Lecz przystąpmy do rzeczy.

Tytuł sam komedyi pana Zalewskiego „Z postępem“ jest dosyć obiecującym, lubo można go brać literalnie albo też ironicznie. W pierwszym razie, przypuścić trzeba jasno narysowaną tendencyę, wyraziście skreślone charaktery i naturalnie, wprost z życia zapożyczoną kollizyę;—w drugim, przy tychże samych warunkach, potrzebaby oczekiwać konkluzyi negacyjnej, to jest dowodzącej satyrycznie, że tego postępu wyrażonego w tytule, w rzeczywistem życiu właśnie wcale niema.

Czy tak chciał mieć autor?

Chcąc na to odpowiedzieć, potrzeba koniecznie podać treść sztuki. Zaprzeczyć się nie da, że treści tej jasno przedstawić nie można, z tego powodu, że charaktery w tej komedyi, nie są konsekwentnie i logicznie przeprowadzone.

Oto niejaki hrabia Kobylański, hrabia z hrabiów prawdziwych, żyje sobie najspokojniej z synem swym Arturem i córką Emmą. Ale ma na nieszczęście kuzynkę, starą dewotkę i przetyraną po salonach jejmość, która niemając majątku, trudni się wszystkiem potrosze: swataniem, doradzaniem i reklamowaniem obcych interesów. Przybywa więc do hrabiego i opowiada mu cuda o przedsiębierstwie niejakiego Silbera, który odkrył u siebie ogromne źródła nafty. Hrabia lubo powiada te słowa „Jeszcze jeden, co oczy chce zamydlić światu,“ dodaje jednak zaraz: „Trzeba będzie spróbować.“ Trochę to dziwne, iżby człowiek, który tak rozsądnie przewiduje oszustwo, dał się na nie tak ochoczo złapać. Bo hrabia Kobylański łapie się w najniedorzeczniejszy sposób. Odrazu, nie zbadawszy interesu, nie przekonawszy się ani o bogactwie źródeł nafty, ani o możebności eksploatacyi, ofiaruje Silberowi pięć kroć gotówką, za wzięte ryczałtem akcye. Inżynier Zdzisław Krzyski, przyjaciel młodego Artura Kobylańskiego, wezwany z Monachium do Silbera, zaledwo bierze mapę miejscowości w rękę, nabiera przekonania, że tu wcale nafty nie ma, ale tem zaszkodził sobie tylko, bo go Silber jako zbyt przenikliwego, na naczelnego inżyniera nie chce. I kiedy już wszyscy widzowie wiedzą o oszustwie rozmyślnem Silbera, jeden tylko on, zbyt naiwnie odzywa się z końcem aktu II-go: „Tu coś jest, w domysłach się gubię.“ Jest to błąd, bo nie on ale widzowie w domysłach gubić się powinni, w ten bowiem tylko sposób rozbudziłaby się ich ciekawość, na czem niemało w komedyi każdej zależy.

Naturalnie, że oszustwo Silbera wydało wnet owoce; hrabia Kobylański widzi się wkrótce nad brzegiem przepaści, lubo go z niej ratować chce tenże sam Silber w bardzo, powiedzmy szczerze, nieznośnie długim dialogu. Jakim bowiem sposobem dziać się może, iżby człowiek który kogoś zrabował, przychodził potem do niego i śmiał bezczelnie *primo*, ofiarowywać zagodzenie sprawy pod warunkiem oddania córki za jego syna (hrabianki dla parweniusza najgorszego gatunku!) i *secundo*: rozwijać teorye społeczne w tym naprzykład guście:

.....Stwórca, podzielił wszystkich ludzi na kasty [i stany,
A dalej robiąc wieczny porządek na ziemi
Pewnej liczbie wybrańców rzekł: bądźcie nad [niemi.“

albo gdy ten sam Silber, mówi do hrabiego:

„A gdy cię pomoc moja opuści jedyna
Zginiesz w nędzy, okryty togą Rzymianina.
Zaszczytne to i piękne—ale rozważ, panie,
Że masz dzieci—cóż w spadku po tobie zostanie?“

Stwórca czy porządek moralny. wymaga przedewszystkiem ludzi uczciwych, a przyzwoitość i prosty bieg rzeczy nie pozwalają oszustowi prawić morałów temu, którego oszukał, i najgrawać się z niego że zginie w nędzy okryty togą Rzymianina, albo przypominać mu nędzę dzieci. Każdy z nas, znajdując się w podobnej pozycyi, pochwyciłby za gardło zbrodniarza, gdyby był sangwinicznego temparamentu, a oddał policyi, gdyby był flegmatykiem.

Hrabia Kobylański jednak inaczej postępuje i lubo bardzo dużo bredzi o swoich przodkach, lubo we wstrętnej tyradzie *ad hoc*, wyrzuca plemieniu żydowskiemu, że wszystko chcą kupić, ale że on nie jest do sprzedania, jednak w końcu waha się, bo po wyjściu Silbera, obawia się iż syn Silbera mający poślubić córkę jego, paść może w pojedynku z Krzyskim, mówiąc:

„Strzela się—dobry sobie—pomoże mi ładnie,
Jak Silbera zabije—lub sam ranny padnie.“

Na szczęście Kobylańskiego, żyje na świecie niejaki Przepiórkiewicz, dorobkiewicz z ekonomów, ale człowiek uczciwy, który ma córkę Emmę, zakochaną w Arturze, synie hrabiego. Ten mu odrazu ofiaruje pomoc i sposobność wyratowania się ze szponów wierzycieli. Hrabia przyjmuje—ale gdy potem dowiaduje się od swego syna, który umyślnie używa tego podstępu dla przełamania przesądów arystokratycznych ojca, że Przepiórkiewicz pożycza dlatego, iżby rodzinę swą połączyć z rodziną hrabiego,—cofa się energicznie, lecz znowu zastraszony nędzą, którą mu Artur w perspektywie odmalował, namawia sam syna iżby się ożenił z Przepiórkiewiczówną.

(Artur. Lepszy kartofel z solą, owoc własnej [pracy
Kobylański. Kartofli ja nie lubię — nawet znieść [nie mogę.

Swoją drogą, hrabianka Aniela zakochana w Krzyskim, idzie za niego, bo hrabia sfolgowawszy w jednem, folguje i w drugiem.

Ale gdzie tu jest postęp? W czem i w kim?

Wszak hrabia nie dlatego uległ, nie dlatego wydaje córkę za profesora, archeologa czy też inżyniera (bo wszystkie te trzy funkcye, zdaje się pełnić p. Krzyski) iżby poszedł za swem przekonaniem, nie odróżniającem tarczy herbowej od nieszlachectwa,—wszak nie dlatego pozwala synowi żenić się z córką dorobkiewicza, ale dlatego, że się boi biedy, że nie lubi kartofli ani nie lubi chodzić pieszo. Założenie przeto główne komedyi, mylnie przeprowadzone i fałszywie rozwiązane, zaś w samem orzeczeniu, tego „postępu“ dopatrzeć się niepodobna, gdyż pan Krzyski spotrzebował w dobrej wierze zanadto dużo amunicyi deklamacyjnej na arystokracyę i demokracyę.

Temat ten wreszcie lubo nie nowy, mógłby zająć, gdyby się go obrobiło ze strony nowszej i opartej na rzeczywistych u nas stosunkach, ale nie na takich tyradach np.

Krzyski. „A w moich żyłach hrabio, krew pro- [stacza płynie,
Krew gminu! i to z dumą powtarzam tem więcej,
Że jabym jej nie oddał za tytuł książęcy,
Bo dziś jakże rodowe cechy się zatarły!“

W napuszystem tem twierdzeniu, dźwięczy nieszczera nuta, której uwierzyć trudno, a wreszcie sam Krzyski najlepiej sobie odpowiada: że „dziś rodowe cechy już się zatarły.“

Pocóż je więc odnawiać, po co odżywiać kwestyę która nie istnieje w rzeczywistem życiu naszem? Pierwszy lepszy przyzna, że w społeczności naszej, ta garstka arystokracyi wcale dziś nie rządzi ani nie wywiera żadnego wpływu, że zgodziwszy się nawet na to, iż nie może iść z prądem ogólnym, to jednak za mało dziś waży liczebnie i materyalnie, ażeby postępowi rzeczywistemu przeszkadzać mogła.

Idea ta dziś już przedawniona, mogła budzić pewne zajęcie przed 15 laty, wtedy kiedy z niej Chęciński skorzystał w „Szlachectwie duszy.“ Dziś jednak wydaje się każdemu bezwarunkowo, posiadającemu jakąkolwiek znajomość kraju, niepotrzebną i niepożyteczną deklamacyą.

Niestety—w ślad za błędnością głównego tematu, idzie błędność, niokonsekwencya— i powtarzamy—, prosta nielogiczność charakterów.

Rozpatrzmy się tylko w nich trochę.

O Kobylańskim mówiliśmy—antagonista jego Silber w pierwszych scenach, wydaje się nam uczciwym człowiekiem, uwikłanym tylko przez łotrowstwo syna, fałszującego weksle i przez nieszczęsne okoliczności, w fatalne przesilenie finansowe. Ale kiedy przychodzi już po katastrofie do hrabiego z obietnicą ratunku, jesteśmy w dobrej o nim opinii umocnieni. Tymczasem nietylko, że nadziei naszych nie spełnia, ale nadto wymaganiami swemi do głębi nas oburza, a zarazem w zdumienie wprawia. Jakto?—dopiero co przeklinał syna, nazwał go podłym, odepchnął od siebie, a teraz domaga się dla niego pięknej córki hrabiego, i jeszcze śmie go chwalić że „starannie został wychowany,“ że jest „dystyngowany“ etc.?

Nie tak się dziać nie może w życiu rzeczywistem, a co jest niepodobnem w rzeczywistości, nie powinno też znaleźć miejsca w komedyi obyczajowej.

Hr. Kobylańska, jest tak już spowszedniałym charakterem, tak żywo przypominającym Szenionową, Kwocką i inne tego rodzaju kreacye w komedyach francuzkich, że nad nią dłużej zastanawiać się nie warto. Koźlikiewicz, Leon syn Silbera, są to zaledwo naszkicowane figury, a ten ostatni razi nas tem jeszcze, że w czasie awantury zrobionej na balu u Przepiórkiewicza, gdy ojciec jego ciągnie bank w karty, śmie się wyrazić o nim, iż „pewnie lisa ułożył.“ Syn o własnym ojcu, nigdy się tak nie wyraża, choćby ten był galernikiem.

Zdzisław Krzyski, postać dodatnia, jest niestety chodzącym morałem, który jak zawsze tak w komedyi mianowicie, serdecznie nudzić musi. Niema w nim krwi ani kropelki,—chodzi jak manekin, wyrzuca z siebie sążniste frazesy i nic nie działa, wtedy gdy najbardziej działaćby powinien. Nie wiemy poco do salonu hrabiego, salonu wielce arystokratycznego, znosi swoje figurki gipsowe. Wszakże one ani nie stanowią rysu jego charakteru, ani do akcyi głównej niepotrzebne, ani nie zacierają nienaturalnego wrażenia które się mimowoli nasuwa, boć trudno przypuścić, iżby koleżeństwo z synem, upoważniało do umieszczania rupieci w salonie recepcyjnym dumnego hrabiego, wyrażającego się o przyjacielu syna dosyć pogardliwie.

Młody hrabia Artur, wydał się nam zbyt wielkim entuzyastą i *plus royal que le roi même*, to jest bardziej demokratycznym od samego Krzyskiego i jego frazesów, bo kiedy ten zapewnia nas, że się szczycił gminnem swem pochodzeniem, to jeszcze niewiemy jakby się zachował w danym razie, gdyby mu ofiarowano książęcy tytuł, którym tak pogardza; — Artur zaś mniej mówi ale zato bez namysłu żeni się z córką Przepiórkiewicza, a siostrę wydaje za Krzyskiego. W tym gwałtownym pośpiechu łączenia się z inną sferą towarzyską, lubo w życiu niema nic nieprawdopodobnego, jednakże w komedyi jest dużo przesady. Zaprzeczyć się bowiem nieda, że wychowania, otoczenia i tradycyi, do których się od dzieciństwa przywykło, nie porzuca się tak bez ceremonii i bez najmniejszego wahania.

Charaktery Emmy i Anieli, anemicznie blade i bezbarwne. Pierwsza przynajmniej jest dyskretną, spokojnie słuchając oświadczyn Artura pod przenośnią dosyć zużytą motyla i róży, ale druga mówi zawiele. Panna skromnie i dobrze wychowana, z wyższego rodu, nie zapomina się tak dalece, iżby na proste napomknienie młodego człowieka, — napomknienie tyczące się całkiem innego przedmiotu— wyrywała się z wybuchem piętnastowierszowym swej długo tajonej miłości, z których naprzykład dwa przytaczamy:

„Cóż dziwnego, że w pośród tych ludzi nawału,
Jam do ciebie tęskniła jak do ideału“.

Z przyjemnością zaznaczyć musiemy charaktery dosyć oryginalne i Przepiórkiewicza i Lisiewicza. Pierwszy jest typem dorobkiewicza, o zacnem sercu choć śmiesznych manierach, który bieży chętnie z pomocą bliźniemu, a ratując hrabiego niema nawet na myśli jego siedmiopałkowej korony. Figura dobrze pochwycona i najstaranniej ze wszystkich, obrobiona. Lisiewicz, pokątny wekslarz, chytry, przebiegły i umiejący korzystać ze słabości ludzkich, niemniej trafny.

W komedyi pana Zalewskiego, zachodzi jeszcze jedna, bardzo ważna okoliczność, której w ocenie niniejszej, pominąć nie można. Oto: tak sytuacye jak i postacie, przypominają zbyt doraźnie inne, wszystkim dobrze znane komedye. Jeżeli pewnych analogii trudno uniknąć komedyopisarzom, jeżeli te tutaj podobieństwa chcielibyśmy policzyć p. Zalewskiemu na karb reminiscencyi, których początkujący pisarz pozbyć się odrazu nie jest w stanie, — to jednak z drugiej strony, świadczą one o skąpej pomysłowości, której brak bardzo dotkliwie w sztuce uczuć się dawał. Niektóre bowiem sceny, jak np. zwołanie przez Przepiórkiewicza służby (Hej hałastra cała, gapie, chodźcie tu. — Akt III, scena I), sprawowanie się małego Polikarpa, syna Przepiórkiewicza, kontrast zasady demokratycznej i arystokratycznej, przypominają żywcem sceny z Geldhaba, Emancypowanych (Kamilek upijający się), z Szlachectwa duszy. Młodzi utalentowani pisarze, zazwyczaj puszczają wodze fantazyi, błądzą po manowcach liryzmu, niewłaściwego w dramacie, ale w głównych chwilach, w niektórych charakterystycznych rysach są tak samodzielni, że odrazu o ich przyszłości wróżyć pomyślnie można.

Czy można uczynić to samo panu Zalewskiemu? Nie chcemy się bawić w augura, nie chcemy też rozdawać patentów na talent, ani od niego stanowczo odsądzać;—chcemy owszem z tej pierwszej większej próby p. Zalewskiego nabrać otuchy, że pozbywszy się pretensyonalności, widocznej w zbyt szerokim na początkującego dramaturga zakroju, pozbywszy się także idei mocno już zwietrzałych, da nam utwór godny bezwzględnej każdego pochwały. Potrzeba mu tylko koniecznie, ściślej i rozważniej badać potrzeby społeczne, jeżeli chce na nich snuć zadania poważne, potrzeba nadto zastanowić się głębiej nad artystyczną budową, nad logiką i żywotnością charakterów i nad fabułą wreszcie, którą się powinno brać z własnej twórczości. Wszystko to możebnem, o ile sądzić się godzi z przebłysków, tu i ówdzie napotkanego dowcipu, z dwóch udałych charakterów Przepiórkiewicza i Lisiewicza i z wiersza gładkiego, który nabierze barwności, skoro i pomysł sam barwniejszym będzie i bardziej bezpośrednim.

Z przybytku nowej siły dramatycznej każdy się wówczas cieszyć będzie serdecznie, a my, którzy zawsze na tem miejscu dowodziliśmy żywotności prac oryginalnych, najbardziej.

Mielibyśmy jeszcze słówko co do gry artystów.

Przyznać im trzeba, że ilekroć chodzi o utwór oryginalny, tylekroć starają się dowieść najlepszych swych chęci.

W komedyi zaś niniejszej, chęci szły w parze z czynem. Żółkowski nieporównany jak zawsze, heroicznie bronił usterków w swej roli hr. Kobylańskiego.

Jakkolwiek nie miał żadnego żywiołu komicznego, utrzymał się jednak znakomicie, czyniąc prawdopodobną prawie, ową rozmowę z Silberem. Każdy inny na jego miejscu, byłby albo przesadził, albo niedosadził, że się tak wyrazimy. Ścisłą tę granicę, odczuł doskonale genialny artysta i genialnie wyprobował.

P. Ostrowski wszystkie cechy dobroduszności Przepiórkiewicza podniósł umiejętnie, zwłaszcza w scenie, gdy przynosi ratunek Kobylańskiemu, a śmieszność dorobkiewicza łagodził starannie, strzegąc się przesady karykaturalnej.

Pochwalić trzeba p. Grzywińskiego w roli Silbera za wydobycie z niej pierwiastku dramatycznego (w scenie z synem), co świadczy, że pożyteczny ten artysta, potrafi głębiej myśleć nad rolą. Niemniej p. Grubiński jako Lisiewicz, pierwszy raz dowiódł, że role charakterystyczne mniejsze, graćby mógł, z daleko większem powodzeniem aniżeli role amantów. Pan Stolpe (Koźlikiewicz) był komicznym w swem opowiadaniu, chociaż ono grzeszy niepodobieństwem wtedy, gdy mówi:

„O jednym z moich przodków co legenda chodzi
Że gdy jechał do króla na obiad proszony,
Tak pospólstwo witało go na różne strony,
Że rozdał wszystko co miał, stojącym w pobliżu
I wtedy ze swym królem jadł obiad w negliżu“.

Pan Wolski (Artur) odegrał rolę poprawnie, a p. Tatarkiewicz lubo zdaniem naszem, miał rolę bardzo niewdzięczną, — bo oklaski paradyzu za tyrady, nie mogą cieszyć artysty—oddał ją jednak ze zwykłym swoim talentem i bardzo poprawnie. Role kobiece przypadły pp. Micińskiej, Ostrowskiej, Nowakowskiej i Mazurowskiej. Pierwsza jako hrabina Kobylańska, powinna się była zrzec swej roli dla dobra sztuki, boć przecież przypuścić nie może, iżby atłasowa suknia stanowiła dowód salonowego obejścia. Panna Micińska ma dobre swoje role, których się zawsze trzymać powinna. P. Ostrowska z wielką swobodą i lekkością, odegrała rolę Polikarpa, której podobiznę grywa w „Emancypowanych“. P. Nowakowska z mglistej Anieli zrobiła eteryczną, nikt też w istnienie takich Aniel nie uwierzył—a panna Mazurowska jako Emma robiła, co mogła, ale zrobić nie dało się wiele.

Już z powodu wystawienia tej sztuki, każdy mógł zauważyć ogromny brak artystki, mogącej w przybliżeniu choćby zastąpić ś. p. Bakałowiczową, a im więcej w las tem więcej drzew, to jest: im repertoar staje się bogatszym, tem trudniej będzie o zastąpienie. Wątpić nie chcemy ani na chwilę, że dyrekcya o wypełnieniu tego braku pomyśli nie na żarty.

E. Lubowski.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

(Dalszy ciąg).

Ciepło miarą siły powinowactwa.—Związki otrzymywane ze smoły węgla kamiennego.—Nadzieja że chemia z czasem będzie mogła wytwarzać związki organiczne, dotychczas wytwarzane przez samą tylko naturę.—Łączność chemii z fizyką.—Eter i Światło. Poszukiwanie źródła sił chemicznych i zjawisk fizycznych w ruchu.—Przechodzenie sił jednej w drugą i w ruch. Mechaniczny równoważnik ciepła.—Cząsteczki i atomy.—Działanie ciepła. Hipoteza atomów objaśnia zjawiska tak fizyczne jak i chemiczne.

Związki typowe przedstawiają różne formy związków chemicznych; różne ich własności pochodzą z różnicy samych pierwiastków chemicznych. Te ostatnie nadają każdemu z typów szczególny charakter i specyalną formę. Przy tworzeniu się związków, atomy zbliżają się z sobą, przyczem wywiązuje się ciepło pochodzące z utraty siły żywej, którą atomy postradały łącząc się ze sobą; natężenie tego ciepła jest miarą energii powinowactwa ciał wchodzących w związek.

Pomijając szczególne własności atomów, o których wzmiankuje uczony francuzki chemik, powiemy tylko, że przedstawienie związków chemicznych za pomocą wzorów, pisanych według nowych metod, pozwala na wytłómaczenie niektórych własności tych związków, odkrycie przyczyn ich wzajemnego do siebie stosunku, a nadto utworzenie sztuczną drogę, t. j. w laboratorium chemicznem, mnóstwa związków spotykanych w przyrodzie, o których dawniej mniemano, że mogą być tylko utworzone w żyjących organizmach. Badania teoretyczne doprowadziły do odkrycia wielkiej liczby ciał nowych, tak np. odkrywszy piękną farbę fuksynę, czyli rose-anilinę, i poznawszy dokładnie jej skład chemiczny, chemicy utworzyli mnóstwo związków pochodnych tej farby, przedstawiających różne barwy żywe, współzawodniczące z barwami tęczy, a wszystkie te związki otrzymują się ze smoły węgla kamiennego. Można mieć uzasadnioną nadzieję, mówi dalej uczony chemik, że z postępem nauki wiele związków chemicznych

jak np. alkaloidy, tak ważną rolę grające w medycynie, ciała cukrowe i inne, tworzone będą kiedyś drogą sztuczną. Odkrywając, rozbierając, studyując, klasyfikując i stawiając ukrytą przed okiem budowę chemiczną związków, stajemy się panami tajników przyrody, nabieramy możności wytwarzania ciał podobnych do tych, jakie ona wytwarza. Związki te powstają wprawdzie inną drogą, ale przedstawiają te same własności chemiczne. Taki jest cel współczesnej nauki, w której doświadczenie wspiera się teoryą. Drogą przypadku chemia coraz mniej robi odkryć, badania chemiczne odrywają się po większej części podług racyonalnie wytkniętego planu.—Żadna praca nie pozostaje dziś bezowocną, choć czasami nie odrazu daje świetne rezultaty. — Wszystkie szczegóły zestawiane są umiejętnie i pomimo to, że gmach nauki wzrasta, nie trzeba się obawiać zabłąkania w tym labiryncie. W gmachu z dobrze obmyślanym planem, każdy kamień musi być dokładnie obrobionym, zanim się znajdzie na właściwem miejscu. Nie wszystkie wprawdzie części składowe przedstawiają się oku i tylko części wyskakujące i narożniki są widoczne. Podobnie rzecz się ma i z gmachem nauki. Szczegóły wypełniające przestwory nikną w całości, ale całość za to staje się coraz wspanialszą.

W ten sposób pojęta chemia zostaje w blizkim stosunku z fizyką. Jedna i druga bada własności ciał. Hypoteza atomistyczna, tak łatwo nadająca się do wytłómaczenia zjawisk chemicznych, znalazła zastosowanie i do wyjaśnienia zjawisk fizycznych. Tak jest istotnie. W ruchach atomów i cząsteczek, nietylko szukamy źródła sił chemicznych, ale i przyczyny zmian fizycznych, a mianowicie zmiany stanu skupienia, zjawisk światła, ciepła i elektryczności. Ciepło i światło zwane niegdyś płynami nieważkiemi, dziś uważane są jako zjawiska pochodzące z wibracyi atomów eteru. Eter, ciało materyalne, najdoskonalej sprężyste, ale nieważkie i niedające się zgęścić, napełnia całą przestrzeń wszechświata i przenika wszystkie ciała. W massie eteru poruszają się planety i niektóre, a może i wszystkie gwiazdy, w atmosferze eteru, atomy ciał odbywają swe ruchy. Eter przynosi nam od gwiazd, planet i słońca—światło i ciepło, rozlewając je w kierunku promieni na wsze strony. Promień falujący ciepła spotykając ciało zimne, udziela swój ruch atomom zimnego ciała, które to atomy wprawione w ruch, wytwarzają ciepło. Podobnie promień światła, oświecając ciało ciemne, traci na swej mocy. Ciała świecące i ogrzane, znajdujące się na powierzchni ziemi, mogą znów udzielać ruch swych atomów atomom eteru, t. j. wysyłać w przestrzeń promienie ciepła i światła.

Cudowne te przemiany przechodzą inne jeszcze ciekawsze fazy. Siła udzielająca się w postaci ciepła i światła może być zachowaną w postaci powinowactwa chemicznego, może ujść w formie elektryczności, lub przemienić się w ruch. Wszak to ta cudowna siła nagromadza się w niezliczonych związkach chemicznych, tworzących się w świecie roślinnym. Pod wpływem siły falowania eteru, siły biorącej swe źródło w słońcu, kwas węglowy znajdujący się w powietrzu, rozkłada się w komórkach liści roślinnych. Ta gwiazda dobroczynna przysyła nam z odległości 20,000,000 mil, promienie światła i ciepła, które w komórce liścia nagromadzają węgiel, wydzielając go ze związku z tlenem, w którym się znajdował w powietrzu. Siła przychodząca do nas jako ruch eteru czyli światło, stała się teraz innym rodzajem ruchu—powinowactwem chemicznem ożywiającem atomy komórki roślinnej. Ta siła zgromadzona w roślinie może być zużytkowaną i pozornie zniszczoną, jeśli spalimy drzewo. Ta siła nagromadzona zużywa się na nowo, jeśli związki organiczne ulegają spaleniu. Powinowactwo chemiczne występujące przy łączeniu się węgla i wodoru w materyałach opałowych z tlenem powietrza, zamienia się w ciepło lub elektryczność. Drzewo płonące lub węgiel rozżarzony dają płomień lub iskrę elektryczną; metal rozkładający płyn kwaśny w szczególnych warunkach wydaje strumień elektryczny. W innych warunkach, ciepło nierówno rozchodzące się po dwóch powierzchniach poddanych tarciu, w massie kryształu lub w dwóch metalach zlutowanych z sobą, przejawia się jako elektryczność statyczna lub jako prąd galwaniczny. Wszystkie więc te siły przechodzą jedna w drugą, zmieniając tylko formę zewnętrzną, już to przerzucając się od atomów ciał do eteru, już też na odwrót; nigdy jednak nie widziemy, aby siła znikła lub częściowo została straconą — siły tylko zmieniają się i odmładzają niejako.

Co więcej, te siły, poruszające atomy i sprawiające falowanie eteru, mogą zmienić się na ruchy poruszające massy ciał, lub ich cząsteczki. Sztaba żelazna ogrzewana, rozszerza się z ogromną siłą; część ciepła zostaje przytem zużytą na wywołanie w cząsteczkach pewnego oddalenia. Jeśli ogrzewamy jakikolwiek gaz, to część ciepła niknie wywołując bardzo znaczne rozszerzenie się gazowych cząsteczek. Przy tem ostatniem doświadczeniu, łatwo jest wykazać, że ciepło zużywa się w części na wytworzenie siły rozszerzającej gaz; jeśli bowiem ogrzejemy też samą ilość gazu do tego samego stopnia temperatury, nie pozwalając mu rozszerzać się, natenczas potrzeba będzie mniej użyć ciepła niż wtedy, kiedy gaz się rozszerza. Różnica pomiędzy temi dwiema ilościami ciepła, wykazuje tę ilość, jaka została użyta do wykonania pracy mechanicznej rozszerzającej gaz. W ten sposób obliczono mechaniczny równoważnik ciepła, tak często wzmiankowany w mechanice, fizyce i fiziologii.

W fizyce ten mechaniczny równoważnik ciepła, posłużył do wytłómaczenia tajemnicy ciepła utajonego przy topieniu się ciał i przy ulatnianiu się ich, t. j. przy przechodzeniu ciał ze stanu stałego w płynny, a z tego ostatniego w gazowy. Dawniej nie umiano sobie zdać sprawy dla czego ciepło, które zabiera płyn wrzący, nie wpływa na podniesienie temperatury tego płynu wyżej punktu wrzenia, który jest stałym przy jednem i tem samem ciśnieniu. Dziś przyczynę tę łatwo wyjaśnić: ciepło pochłaniane jest i pozornie niknie służąc do wytworzenia siły mechanicznej, potrzebnej do oddalenia cząsteczek. Podobnie rzecz się ma przy przejściu ciał stałych w stan płynny; stałość temperatury wykazuje absorbcyę ciepła zużywającego się w tym razie na wytworzenie ruchu oddalającego cząsteczki.

Nowe te pojęcia zmieniły i wyjaśniły definicye stosowane przez fizyków do różnych stanów ciał, zgodnie z teoryami o budowie związków chemicznych. Według teoryi związki te składają się z cząsteczek utworzonych z atomów, obdarzonych ruchami. Równowaga atomów utrzymywana jest przez te ruchy.

Ciepło może wywierać na cząsteczki (molécules), trojakiego rodzaju działanie: najprzód podniesienie temperatury ciała przez zwiększenie ruchów atomów; powtóre powiększenie obojętości ciała przez oddalenie się atomów i cząsteczek, jeśli zaś to oddalenie się jest bardzo znacznem, wtedy następuje zmiana stanu skupienia ciała, t. j. ciało stałe przechodzi w płynne a płynne w gazowe. Nakoniec działając na atomy znajdujące się w cząsteczkach związków chemicznych, ciepło narusza równowagę istniejącą w tym małym systemacie, następuje rozerwanie cząsteczki i albo związek rozpada się na części składowe, albo wytwarzają się nowe związki.

Tutaj napotykamy przyczynę zjawisk rozkładu chemicznego lub nowego powstawania związków; widziemy, że te przemiany są jedynie dalszym ciągiem zjawisk fizycznych tylko co opisanych, a hipoteza atomów objaśnia zarówno dokładnie zjawiska chemiczne jak i fizyczne, oraz łączność ich wzajemną.

(Dokończenie nastąpi).

PRENUMERATĘ

na pisma peryodyczne w kraju i zagranicą wychodzące

oraz na **dzieła sposobem przedpłaty** wydawane

przyjmuje

Księgarnia i Skład Nut muzycznych

M. Glücksberga

w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 7 (411) w pałacu JW. Hr. Krasińskiego

Taż księgarnia dostarcza **Książki i Nuty** przez czyjekolwiek katalogi ogłaszane, nie wyłączając zniżonych w cenie.

Skład nut muzycznych obejmujący utwory dawniejszych i nowych kompozytorów, zaopatrzony jest ciągle w wychodzące nowości i w *tanie edycye Petersa.*

KATALOG PISM PERYODYCZNYCH
udziela się bezpłatnie.

Sprostowanie.

W numerze 47 „Bluszczu“ treść podana na czele artykułu z *Działu przyrody*, kończyć się powinna na wyrazie: „Powątpiewanie.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch.**

OD WYDAWCY.

Dla prenumeratorów pisma *„Bluszcz“* z dodatkiem dzieł J. I. Kraszewskiego, dołącza się do numeru dzisiejszego, tom LXVIII i LXIX ogólnego zbioru, to jest powieść pod tytułem:

„CHOROBY WIEKU”

Powieści *J. I. Kraszewskiego* wychodzą tomami, a mianowicie 5 — 6 tomów kwartalnie. — Prenumerata wynosi dla prenumerujących *Bluszcz*, kwartalnie Rs 1 kop. 75; — dla nieprenumerujących *Bluszczu* Rs. 2 kop. 50.

Wydawnictwo to rozpoczęło się z dniem 1 października 1871 r. — Wyszło dotąd tomów sześćdziesiąt dziewięć.

TREŚĆ: **Rodzina jako stowarzyszenie się do szczęścia** (dalszy ciąg).— **Pod działem Kruppa**, (poezya).— **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — **Historya o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Przegląd teatralny**, przez Edwarda Lubowskiego. — **Z działu przyrody**, (dalszy ciąg).

Warszawa,—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою 18 (30) Ноября 1874 г.